ROZMAITOŚCI.

Dnia 15 sierpnia, Nr 33. roku 1846.

Niestateczna natura miłości.

(Dokończenie.)

Światło dzienne wnikało z trudnością do pokojów zamku Aylesbury. Wszystkie zazdrostki były szczelnie pozamykane, a przecież po odblasku, który złotawą barwą odcieniał się na przejrzystych muszlinowych firankach, można było poznać, iż słońce świeciło na widokręgu. Jakoż w istocie w tym dniu przywdziała cała natura szatę świąteczną. Rozkoszny lipiec rozpostarł hojną dłonią wszelkie swoje skarby kwiatów, owoców i zieleni po ziemi. Ale nadchodzi czas, kiedy wszystkie wdzięki natury obojętnémi dla nas się stają. Nie jakbyśmyto niegodni już byli życia, owszem to życie, ze swoją jednostajną koleją czasu, ze swojémi zwodnémi uciechami, staje się nas niegodném.

Lord Aylesbury spoczywał omdlały na sofie. Blade jego lica świadczyły zarazem o cierpieniach ciała i duszy; ręka jego przerzucała niedbale karty jakiejś książki, a w oku jego półprzytłumiona łza się skręciła.

W chwili gdy Edgar z westchnieniem książkę na bok odkładał, weszła do pokoju młoda, życiem i krasą jaśniejąca kobiéta. Zwróciła się naprzód ku zwierciadłu, a potém, poprawiwszy sobie upięcie włosów, spojrzała niedbale na Edgara, i rzekła:

»Już się namyśliłam, milordzie; odjeżdżam dziś wieczorem do wód. Panu wiadomo, iż mię tam liczne towarzystwo odprowadza.»

„Wiem tyle, milady;” — odpowiedział lord z mocném postanowieniem — „iż pani tam nie pojedziesz. Sprzykrzyło mi się już słuchać daléj rozkazów lekkomyślnéj, samolubnéj małżonki. Jestto moim obowiązkiem, zmusić panią wreszcie do posłuszeństwa, jeźli nie mam być celem szyderstw tych salonowych próżniaków, które cię otaczają.”

»Żartujesz milordzie. Żarty sprawiają zwykle wesołość, a w twoim charakterze, ani w mojém położeniu, nié ma wcale nic wesołego. Tyranizujesz mię pan bez litości. Niedorzeczna zazdrość twoja zamienia mi życie w niewolę, podczas gdy wszyscy się bawią. Jato owszem powinnabym się uskarżać.»

„Niewdzięczna! Cóż ja takiego czynię, coby cię unieszczęśliwiać miało? Wstrzymuję cię na chwilę od świata i towarzystwa, proszę cię zostać przy mnie chorym, samotnym, cierpiącym na duszy i na ciele, a miłość pani nawet téj małéj próbie nie wydoła. Co mówię, miłość pani! Jakgdybyś mię pani kiedy kochała! Być kochanym od kokiety, jest to samo, co być ustawicznie zwodzonym. Mąż takiéj osoby, marzący o szczęściu domowém, zapoznaje całe swoje stanowisko, które jedynie na tém polega, aby żonę swoję w tryjumfie od salonu do salonu prowadził.”

„Co za niedorzeczna mowa! Pańska wyobraźnia wszystko przesadza. Gdybyś pan mniéj był nierozsądnym, i mniéj wymagającym, samo wspomnienie o moich tryjumfach podwoiłoby nasze szczęście domowe.»

„Te nieszczęsne wspomnienia chwały wczorajszéj, widoki podobnych pochwał w dniu jutrzejszym, całkiem panią zajmują. Wdzięki twoje są dla innych, nie dla mnie. Ja, twój małżonek przed światem, nie mam nawet pozoru bardziéj od innych przez ciebie uwzględnionego kochanka. Ta nieustanna walka z tłumem twych wielbicieli, siły mi wreszcie odjęła. Straciłem nawet nadzieję, abym kiedy moich szczęśliwych rywalów w darze podobania ci się, mógł prześcignąć. W tym bolesnym stanie upokorzenia, usta moje zapomniały słów wesołych i ujmujących, lica moje pobladły, zdrowie podupadło, i wstyd mię ogarnął, żem w zaślepieniu mojém, tak hańbiącą rolę na siebie przyjął. Dziecinna miłość moja obłąkała mi zmysły, przeistoczyła mię w niedojrzałego podrostka; zacząłem więc znowuż być mężem, lecz nasunęło mi się oraz to pytanie, czy, nie będąc już więcéj pani kochankiem, mogę być pewnym jéj cnoty?»

„Jako, milordzie! Nie dośćże panu na tém, że mię obrażasz, chceszże mię jeszcze spotwarzać? Jakiżto powód dałam panu wątpienia o mojéj cnocie?»

„Dotąd żadnego; tylko ten jeden, iż pani jesteś zalotną i nie kochasz mię. O, jakążto czczość uczuwa serce, ochłonąwszy z nierozsądnéj namiętności!

Jaka próżnia otwiera się w nas natenczas! Słyszę ojca przeklinającego mię z nieba. Wydarłaś mi pani wszystko, miłość swoję, tkliwe przywiązanie Madeliny, poważanie zacnéj rodziny. Więcéj z próżności niż z kochania zwiodłaś mię pani z toru, którym powinienem był iść przez całe życie. Ach, dlaczegoż musiałem zejść się z panią. Pełen nadziei i rozkoszy spieszyłem ku mojéj pięknéj, szlachetnie myślącéj narzeczonéj, a pani, jak zwodna syrena, czepiłaś się mego serca. Wiodłaś mię od przepaści do przepaści, a teraz stoję już nad grobem. Chceszże mi pani do reszty sztylet w serce utkwić? O, Saro! Powiédz mi, że się zrzékasz téj podróży.”

„Pozwól mi pan przynajmniéj czasu do namyślenia się. Teraz muszę odejść milordzie. Czeka na mnie nowa toaleta. Aż do wieczora uwiadomię pana o mojém postanowieniu.”

To rzekłszy wyszła z pokoju, spoglądając z szyderczym uśmiéchem na Edgara. Lord Aylesbury wiódł za nią wzrok posępny, a potém, oparłszy boleśnie głowę o poduszki, zatopił się w myśli i zasnął.

Przebudziwszy się, ujrzał koło siebie list na stole. Wziął go i wyczytał:

„Mój kochany Edgarze!

Gdy ten bilet obaczysz, będę już w drodze. Jadę do wód. Przyszło mi na myśl, że na tę małą karę zasługujesz. Jeżeli jednak sądzisz, iż potrzebuję mentora, przyjedź za mną, przyjmę pana z radością. Do zobaczenia, mój przyjacielu; bądź przekonanym o trwałém przywiązaniu

twojéj Sary.”

Cóż za płochość, co za złośliwa nieszczérość, ukrywały się w tych słowach pod maską swobodnego żartu! Lord Aylesbury nie pojął się z boleści. Nie wierzył on nigdy, aby Sara podobnego uczynku dopuścić się mogła. Odstąpić go w chwili, gdy był chorym, i nie miał nikogo przy sobie prócz służących; byłoto nadmiarem zdrady. Z początku zamyślał Edgar udać się za nią i zmusić ją do powrotu; lecz wkrótce uczuł, iż ciągłe z nią nieporozumienie będzie nad jego siły. Jedyném jego pragnieniem teraz było — umrzéć spokojnie. Napisał więc następujący list do Sary:

„Nie odrywaj się pani od swoich lekkomyślnych zabaw. Nie zawsze piękną będziesz. Stłum pani wszelką troskę; zagłusz natrętny głos sumienia. Łzy zbiedziłyby twoje różane lica, smutek przyćmiłby blask jasnych oczu twoich. Wiadomość o mojéj śmierci zaskoczy cię może pośród hucznéj biesiady, ale w téjże saméj chwili, kiedy wyrzekniesz: Otóż ubyło mi jednego wielbiciela — przybędzie nowa ofiara twoich wdzięków, nowy rywal pośmiertny, i będziesz pocieszoną....”

Tu pióro wypadło z rąk Edgarowi. Słowa te, jako ostatnie pożegnanie, obudziły w nim natłok bolesnych wspomnień; bolesny dreszcz przejął go całego, oko się zaćmiło, padł nieprzytomny.

Po długiém omdleniu nastąpiła niebezpieczna gorączka. Nie troszcząc się o zachowanie sobie życia, zakazał Edgar po odesłaniu owego listu uwiadomić Sarę o swojéj nagłéj chorobie, i oczekiwał obojętnie jéj końca. Wnet w niemą, bezwładną apatyję pogrążony, wnet na pastwę gwałtownych gorączkowych marzeń oddany, stał on się dla wszystkich przedmiotem żalu i litości. Tak prawie cały miesiąc upłynął. Nareszcie gorączka ustała, z nią też niebezpieczeństwo minęło, a powoli i wyzdrowienie nastąpiło. Sam Edgar tylko nie wierzył temu wyzdrowieniu, i utrzymywał iż niebo jedynie odwłoki mu dozwoliło; lecz nie narzucał nikomu tego zdania o sobie, i rozpoczął dawne swe zatrudnienia. Książki, plany gospodarskie, samotne przechadzki, zapełniały próżnią dni jego. Spokojna powierzchowność oblicza nie odkrywała wewnętrznego niepokoju. Szlachetna duma, pewien rodzaj wstydu, nie dozwalały mu odsłaniać duszy swojéj przed ludźmi. Często jednak zwalniał on cugla koniowi, aby go niósł pędem bez celu, chcąc także fantazyję swoję do równie swobodnego lotu w napowietrzną dziedzinę marzeń wzwyczaić.

Z jakąż goryczą serca wracał on po takich wycieczkach do swego opustoszałego zamku! Nie wychodziła tam czuła żona naprzeciw niemu, nie słyszał tam miłego jéj głosu, wymawiającego mu uprzejmie zbyt długie oddalenie! Posępna głusza panowała wokoło niego, a przechodząc z jednego próżnego pokoju do drugiego; wydawały mu się wszystkie zarówno opustoszałe i ponure.

Samotność jestto coś tak nieznośnego, i sprzeciwia się tak mocno całéj naturze człowieka, iż wtedy nawet, gdy on poniewolnie skazany jest na nią, duch jego, widmami wyobraźni ją zaludnia. Lord Aylesbury doznał tego pomimo wolę. Serce jego wywołało wspomnienia, a w nich obraz dawno niewidzianéj postaci. Pamięć lat spędzonych z zalotną Sarą minęła jak sen niemiły, a natomiast przeszłość stała mu się teraźniejszością i łudziła go obrazem Madeliny. To urocze zjawienie było mu odtąd nieodstępną pociechą samotności, i jak niegdyś małżonek Madeliny w niewidomą obecność Sary wierzył, tak teraz opuszczony przez Sarę, żył urojoną obecnością Madeliny.

* * *

Pewnego poranku zajechał powóz przed zamek. Niebawem dały się słyszeć kroki na wschodach. Nim Edgar jeszcze miał czas zapytać służących o niespodzianego wcale gościa, wbiegł słuszny, dobrze ubrany mężczyzna do pokoju i zawołał z radością:

»Gdzież jest mój kochany przyjaciel, towarzysz

szkolny, mój Edgar, niech go serdecznie uściskam, jak go za młodu ściskałem! Cóżto, nie poznajesz mię, milordzie. Jestem sir Jasper Ellis, ów wartogłów, który mając lat ośmnaście, potrzebował mądréj porady swego piętnastoletniego przyjaciela. Mnogie lata upłynęły, odkąd wyjechałem do Indyj z ojcem, który chciał zostać nabobem. Nareszcie wracam do Anglii, mam ładny majątek, lubą żónkę, którą w podróży poznałem i zaślubiłem, a teraz pałam niecierpliwością ujrzeć towarzysza mojéj młodości. I tyżto nim jesteś, milordzie, ty moim Edgarem! To spojrzyjże przecie na mnie, niech cię poznam. Ależ, mój Boże! Cóż cito jest przyjacielu! Jakżeś blady i nędzny!»

„Nie ma w tém nic zatrważającego. Wszakże należę do tych, którym tylko o przyszłości mówić jest wolno.»

„W twoim wieku choroba ledwie dzień jeden potrwa.»

»Dzień — któremu koniec w grobie.»

„Dziecinnyś! Nie lubię, kiedy młodzież z czémeś podobnem się odzywa. Zostawmy to starcom, im to do twarzy. Kto już nie ma żadnéj nadziei, temu wolno zostać melancholikiem, lecz ty przyjacielu jeszcze nie masz prawa do tego. Opuść ten pusty, ponury zamek, jedź ze mną do Szkocyi, poznasz moję żonę. Jéj zalety zachęcą cię do ożenienia się. W istocie, ożenimy cię, a potém będziesz szczęśliwym, mój przyjacielu.»

„Daremnie; jestem....»

»Jesteś dziwakiem.»

„Jestem żonatym.»

„Więc przedstaw mi przecież panią Aylesbury.»

»Nie mogę; żony mojéj nie ma w domu.»

„Lady Aylesbury nie ma w domu, a ty jesteś chory! Cóż to znaczy?»

„To znaczy, że nie żyjemy z sobą; jesteśmy rozwiedzeni.»

„O, nieba! I któż więc temu winien?»

„Ja.»

»Ty? Natenczas można jeszcze o zgodzie pomyśléć. Kobiéty są tak pobłażające!»

„Nie, mój przyjacielu. Nieszczęsne okoliczności sprawiły, iż zapoznałem jéj serce, i sam rozwodu zażądałem. Nadaremnie opłakuję teraz anioła, którego postradałem; nieprzebyta przegroda dzieli nas teraz, a że sam szczęście sobie zatrułem, więc nie dbam także o życie.»

„Biedny Edgarze!»

„Nie ubolewaj nade mną; boleść moja wkrótce się skończy. Ale byłem zanadto otwartym z tobą; widzę, zasmuciło cię to. Przebacz mi przyjacielu; odtąd będę powściągliwszym w moich zwierzeniach. A nawzajem przyrzeknij mi, iż się o nic pytać nie będziesz. Muszę zapomnieć o wszystkiém.»

»I pragnę, abyś zapomniał. Nie lękaj się niczego. Będę umiał szanować twoje milczenie, wszakże pod jednym warunkiem: jeżli pojedziesz ze mną do Szkocyi.»

„Towarzystwo moje byłoby złą wróżbą dla twego własnego pożycia domowego.»

„Nie lękam ja się wcale téj wróżby, nie jestem bynajmniéj zabobonnym.»

Sir Jasper nalegał tak szczérze i usilnie, że lord Aylesbury dał się wreszcie uprosić. Napisał list do swojéj żony, uwiadamiając ją o swoim wyjeździe do Szkocyi, bez wzmianki, kiedy powróci.

Sir Jasper dotrzymał przyrzeczenia. Przez całą drogę unikał wszelkiéj rozmowy, któraby jego przyjacielowi nieprzyjemną być mogła, i owszem starał się rozerwać go opowiadaniem mu swego życia w Indyjach.

Po niedługiéj podróży przybyli obaj do Grove-Manor, zamku pana Jasper w hrabstwie Douglas. Było tam liczne towarzystwo, które się żywo i wesoło bawiło. Edgar zdawał się z początku być olśnionym, jak ten, który nagle z ciemności w jaskrawe światło przechodzi. Ponieważ byłoto już pod wieczór, a sir Jasper go prosił, aby przyszedł na herbatę, przeto musiał Edgar oddawna po raz pierwszy ubrać się znowuż staranniéj, i prawie pomimo woli wszedł do salonu. Zgromadzone tam świetne towarzystwo podzieliło się w różne pomniejsze grona. Sir Jasper pośpieszył przedstawić swego przyjaciela gospodyni domu.

Lady Ellis siedziała przy oknie. Strój jéj składał się z białéj atłasowéj sukni, bez żadnego dalszego przyboru. Szatynowe jéj włosy spadały w gładkich lokach na szyję. Gdy lord Aylesbury ku niéj się zbliżył, lady Ellis obróciła się z wdzięcznym uśmiechem; lecz zaledwie oczy jéj z jego spojrzeniem się spotkały, zamarł jéj uśmiech na ustach. Ta miła lady Ellis, któréj pochwał Edgar tak obojętnie słuchał, byłato Madelina, którą on jeszcze prawie dzieckiem opuścił, a którę teraz znowu ujrzał tak piękną jak anioł, chociaż lica jéj były blade, a oko łagodną melancholiją zasępione, lecz melancholiją nadającą jéj większego jeszcze uroku.

Mimo gwałtowność wewnętrznego wzruszenia umieli się przecież i Edgar i Madelina tak dalece powściągnąć, iż sir Jasper niczego nie mógł dostrzedz. Po wymianie zwyczajnych wyrazów grzeczności, uprowadził baronet lorda Aylesbury z sobą, aby się przed nim z pochwałami swojéj żony rozwodził.

„Poznałem ją w Anglii;» — mówił on do Edgara — „żyła ona tam bardzo odosobniona. Zaraz po pierwszem wejrzeniu, zakochałem się w niéj namiętnie, i ośmieliłem się prosić ojca o jéj rękę, któréj mi też nie odmówiono. Odtąd jestem najszczęśliwszym z ludzi; Madelina tak łagodna, tak miła!.... Ale ty znowu marzysz mój przyjacielu, nieustannie tylko marzysz!»

*

„Słucham cię, słucham, kochany baronecie."

W téj chwili powstało poruszenie w salonie. Chciano tańczyć, a lady Ellis usiadła do fortepijanu, i nie bez częstego oglądania się poza siebie, zagrała kilka skocznych melodyj. Miejsce jéj zajęła jakaś *miss* młoda. Lady Ellis nie chciała odtąd podzielać rozrywek towarzystwa, lecz wróciła na swoje miejsce u okna.

Podczas gdy pary tańczące koło niéj przemijały, Madelina obrywała nieświadomie listki stojącego w pobliżu geranijum. Dla uniknienia spojrzeń lorda Aylesbury, spuściła oczy ku ziemi, lecz po drżeniu jéj ręki, można było poznać, jak mocno była wzruszoną. Niedaleko od niéj stał Edgar, milczący, nieruchomy, nieśmiący się zbliżyć do niéj, gdyż zdała mu się być jakiémś niebiańskiém widzeniem, na które tylko z czcią i podziwem patrzyć należało.

Po walcu dały się słyszéć harmonijne tony kontradansu.

„Jakże,— ozwał się sir Jasper — „nie weźmieszże Edgarze żony mojéj do tańcu; pójdźże, ładny marzycielu, i napraw swoję poprzednią opieszałość."

I po raz drugi zaprowadził baronet Edgara do lady Ellis. Edgar wyrzekł niezrozumiale prośbę, któréj Madelina jednak nie przyjęła.

»Toteż i ty, Edgarze, nie przyjmij wymówki milady;» — rzekł sir Ellis — »życzę sobie, aby tańczyła, i jestem pewnym, że będzie tańczyć."

Edgar ujął nieśmiało rękę Madeliny, która dłużéj opierać się nie mogła. Stanęli do kadryla. Zaledwie jednak kilka kroków zrobili, spostrzegł Edgar, iż Madelina blednieje i omdlewa. Przyskoczył więc do niéj, uchwycił ją w ramiona, i zaniósł wpółomdlałą na sofę. Lady Ellis miała obie oczy zamknięte. Gdy je otworzyła, piérwsze ich spojrzenia padły na Edgara. O! było tam tyle miłości, tyle bolu w tych spojrzeniach! Edgar zrozumiał je, a to milczące wyznanie, przejęło go niewysłowionem szczęściem.

Odtąd podwójny powód wstrzymywał go w Grove-Manor: najprzód obawa, aby podejrzenia pana Ellis nie ściągnąć, gdyby się nagle oddalił; powtóre, gwałtowna żądza zostania jeszcze chwilę przy boku Madeliny, gdyż Edgar wiedział, iż teraźniejsze rozstanie się ich, byłoby pożegnaniem na wieki; a chociaż nie mógł sobie zataić, iż obopólne ich położenie było zanadto przykre, aby długo trwać mogło, przecież zostawiał on to przyszłości, spodziéwał się że naprawi tę obecną niedelikatność, i nie odjeżdżał. Ztémwszystkiém dusza jego uczuwała więcéj boleści niż rozkoszy, tylko że boleść ma także swoje stopnie, a wszelkie męczarnie, jakie mu towarzystwo Madeliny zadawało, nie mogły iść w porównanie z témi, jakie byłoby mu sprawiło oddalenie się od niéj. Od Madelinyto wyszedł ten cios, który serce mu zranił, i Madelina téż sama mogła mu podać balsam na tę ranę. Chociaż lady Ellis starannie wszelkiéj rozmowy, wszelkiego samotnego spotkania się z Edgarem unikała, przecież nie mogła się żadną miarą uchylić od tego, aby niekiedy kilka słów do niego nie przemówiła, lub ramienia jego nie przyjęła. Lecz w takim razie spieszyła ona zazwyczaj ukończyć to *tête-à-tête* niebezpieczne, a lord Aylesbury był zanadto szlachetnym, aby nie miał szanować tego postępowania. Wreszcie postrzegł on, iż zatruwa sobą życie młodéj małżonki, i postanowił poświęcić się. Będąc jednego razu na przechadzce z swym przyjacielem, oznajmił mu, iż chce témi dniami odjechać.

„Przypomniałem sobie," — rzekł Edgar — „że mam pilną sprawę w Edymburgu, a ponieważ przyjaźń twoja do Szkocyi mię sprowadziła..."

„Pojedziesz na każdy wypadek do Edymburga,"— odpowiedział sir Jasper — „ale nie teraz. Zważ tylko jak długo byliśmy rozłączeni, a jeźli towarzystwo moje już ci się naprzykrzyło, tedy ja twojém wcale się jeszcze nie nasyciłem. Zostaniesz u nas, gdybym nawet użyć miał praw pana domu, i przemocą u nas cię zatrzymał. Pójdź ze mną złożyć swoje uszanowanie pani Ellis; kobiéty posiadają większy dar namowy."

Edgar, jak dziecko posłuszne, udał się za baronetem. Zastali oni gospodynią domu w małym buduarze, obok sypialnego pokoju. Madelina czytała. Widok Edgara przeniknął ją mimowolnym dreszczem. Lord Aylesbury wymówił kilka słów powitalnych, których ona słuchała, nie rozumiejąc ich wcale.

„Przyprowadzam ci lorda Aylesbury," — rzekł sir Ellis ze śmiéchem — »abyś go wyłajała. Jestto dziwak, niepoprawiony w swojéj osępiałości, wzbraniający się uporczywie wszelkich rozrywek. Wystaw sobie Madelino, chce on nas już porzucić. Pobyt u nas znudził go już, jak widać."

„Znudził!" zawołał Edgar z żywością. »Obrażasz mię przyjacielu! Chyba musiałbym zmysły stracić, gdybym nie umiał cenić twéj uprzejmości. Nie byłem nigdy w życiu szczęśliwszym."

»Niechże sobie to wytłumaczy, kto chce. Nie był nigdy szczęśliwszym, a przecież chce odjeżdżać. Nie widzę w tém zdrowego rozsądku. Pokazuje się, mój przyjacielu, że nie masz własnéj woli; a ponieważ ja i Madelina opiekę nad tobą przyjąć chcemy, tedy postanawiamy, abyś u nas pozostał. Biédny Edgar! Ileż on ciérpi! Gdybym ci, Madelino, opowiedział smutną historyję jego życia, zapragnęłabyś zapewne pocieszać go wraz ze mną. Miał on lubą, kochaną żonę, los rozłączył go od niéj, teraz tęskni znowuż do niéj, i kocha ją namiętnie, nieprawdaż, milordzie?"

Co za pytanie! Trudno było zarównie odpowiedzieć „Tak" jak i „Nie."

»Będę ją wiecznie żałował!" zawołałał lord Aylesbury — „a zarzuty, jakie sobie sam czynię, ukró-

cają mi życie; lecz jestto zasłużona kara za moje błędy, i z rezygnacyją też ją znoszę.»

»Słusznie masz, przyjacielu; jestto jedynem mojém życzeniem, abyś wymógł na sobie rezygnacyję. A do tego potrzeba koniecznie bawić się i być wesołym. Posłuchaj mię więc, i odpędź tę czarną troskę.... Madelino, odezwijże się przecież.... Zostawiam was razem, i spodziéwam się, że gdy powrócę, milord będzie przynajmniéj w części nawróconym.»

Sir Jasper odszedł. Madelina otworzyła okno i wyglądała na dwór, patrząc jak mąż jéj w głąb parku się oddalał. Edgar usiadł przy niéj. Oboje mieli oczy zwrócone na ciemny widokrąg nieba; oboje spoziérali na różnobarwne grządki kwiatów, rozścielające się pod oknem.— „O mój Boże!” pomyślał Edgar. „Gdyby też powiew wiatru mógł jéj poszepnąć, jak bardzo ją kocham!” Lecz wiatr nie wydaje tajemnic, gdyż miałby zbyt wiele do czynienia, gdyby wszystkie zwierzane posłannictwa chciał sprawiać. Wtém zaczął dészcz kropić, niebo zasuło się chmurami, od czasu do czasu płonęły błyskawice na niebie. Madelina, z schyloną na dół głową, zdawała się w głębokie pogrążać się dumania, lecz jéj drżące w oczach łzy, odkrywały gwałtowny wnętrzny niepokój. Edgar ośmielił się ująć jéj rękę i do ust ją przycisnąć.

„Madelino,”— rzekł— »powiedz mi, iż mi przebaczasz.»

»Dlaczegoż nie miałabym panu przebaczyć? Nieszczęście pańskie byłoby dopiéro wtedy niepowrotném, gdybym nie chciała była zezwolić na prośbę pana; a mnie nieba inny los przeznaczyły. Zapomnijmy o przeszłości; jestem szczęśliwą.”

„Składam Bogu gorące dzięki zato; gdyż w takim razie, ja sam tylko jestem politowania godzien.”

»Pan, milordzie? pan, małżonek pięknéj Sary?»

„Sary!.... O nie mów pani o niéj. Ona mnie nie kocha, a ja nią gardzę. Onato zniszczyła moje szczęście, była naszym złym duchem, który ziarno niezgody pomiędzy nas rzucił. Teraz jestem samotnym, nie mam nikogo na świecie, coby mię kochał; nikt mi już kwiatami miłości drogi do grobu nie uściele.»

„Nie umrzesz — nie umrzesz!” zawołała Madelina, a wtém zalawszy się łzami, zerwała się nagle, biegąc szybko przez pokój. Edgar pospieszył za nią.

»Płacze!” rzekł do siebie. „Płacze z mojéj winy. O, kocha mię jeszcze, a ja chciałem umiérać! Nie, Madelino, nie umrę! Miłość twoja przywróciła mi życie.»

„Moja miłość?” ozwała się nieco spokojniéj Madelina. „Zkądże pan wnosisz, że lady Ellis....»

»Madelino, o nie bądź tak okrótną i nie wydziéraj mi ostatniej złudy mojéj. Wszakto ciebie ja widzę przed sobą, ciebie, moję drogą małżonkę, skarb którego Bóg mi nigdy nie wydarł, bo rozwód jest ustawą ludzką, któréj Bóg nie uświęca.»

„Milcz, milordzie; jeźli mniemasz iż cię kocham, tedy błagam cię, nie wymawiaj tego. Słowa te przestraszają mię, oskarżają mię.... Bądź zdrów, milordzie, nie kocham cię.»

A wywinąwszy się z objęć Edgara, wyszła szybko z pokoju.

Upłynęło dni kilka. W tym przeciągu czasu przekonał się lord Aylesbury z pewnością, iż Madelina go kocha, lecz nie widział innego ratunku przeciw téj namiętności, prócz śmierci. Zdało się też, jakby nieba prośby jego wysłuchać miały, gdyż siły jego żywotne niknęły z zadziwiającą śpiesznością. Trawiony żądzą widzenia wciąż Madeliny, opiérał on się ze wszystkich sił chorobie, a będąc już blizkim śmierci, odmawiał sobie niezbędnie potrzebnéj spokojności, aby tylko być razem z Madeliną, i bawić ją, chociażby nawet najobojętniejszémi rzeczami. Nikt nie pojmował jego okropnego położenia prócz Madeliny. Wszyscy byli zajęci własną rozrywką, kobiéty starały się, jak zawsze, przypodobać, mężczyźni ująć te, które im się podobały.

Pewnego wieczora umówiono wielką przejażdżkę konną po okolicy. Sir Jasper zniewolił swoję żonę do uczestnictwa w téj zabawie, a lord Aylesbury chciał także miéć w niéj udział. Mimo przedstawień Madeliny, mimo gorączki, która go trawiła, wsiadł on wraz z innymi na koń, i przybiérając pozór wesołości, złączył się ze świetnym orszakiem. Po krótkiéj przejażdżce gorączka jeszcze bardziéj się wzmogła, lecz sprawione nią rumieńce nadawały blademu licu Edgara łudzącego wyrazu zdrowia. Niespokojna Madelina nie spuszczała go z oka. Niepostrzeżenie zbliżyła się ona ku niemu, a jak wówczas, kiedy w domu pana Fitz-Waltera po raz pierwszy oboje sam na sam się ujrzeli, tak i teraz reszta towarzystwa od nich się oddaliła. Tu nieznacznie dreszcz grobowy przeniknął lorda Aylesbury, głowa jego opadła bezwładnie na piersi, ręka usiłowała nadaremnie prowadzić konia, który spokojnie sam daléj postępował.

„Edgarze!” wskrzyknęła lady Ellis rozdziérającym głosem.

Na to słowo wzniósł Edgar głowę i uśmiéchnął się.

»Zatrzymaj się pan, proszę;” ozwała się Madelina powtórnie.

A zarazem, zeskoczywszy z siodła, zbliżyła się ku Edgarowi, który także powoli z konia się zsunął. Madelina wzięła go za rękę, aby go wesprzéć. Zwrócili się w bok ku małemu dworkowi, który tuż stał przy gościńcu. Madelina zadzwoniła. Otwarły się drzwi i wyszedł naprzeciw nim służący, który na dany mu zcicha rozkaz Madeliny, zaprowadził ich do jednego z dolnych pokoi, gdzie siedział jakiś stary, siwy mężczyzna. Na widok lorda Aylesbury zerwał się staruszek z krzesła i zawołał z zadziwieniem:

„Co widzę! lord Aylesbury! Lord Aylesbury wraz z moją córką! Czegoż pan tu żądasz? Mów, milordzie, jaka okoliczność sprowadza cię do mnie, po takiém postąpieniu sobie z moją córką?"

„Nie czyń mu ojcze wyrzutów!" rzekła Madelina. „Spojrzyj tylko na niego...."

Tu zaczął pan Fitz-Walter bliżéj lordowi się przypatrywać. Jego bladość, zupełna zmiana jego rysów, obudziły w staruszku dawną, nigdy całkiem nie zgasłą miłość dla młodego lorda, którego stan istotnie godzien był politowania.

„Mój synu!" zawołał ojciec Madeliny. „W jakimżeto stanie znów cię oglądam! Cóż się z tobą stało! Czy żądasz przebaczenia! Ach, przebaczam ci, przebaczam ci chętnie, mój Edgarze!"

„Łaski — żądam." — szepnął lord Aylesbury ledwie zrozumiałym głosem — „łaski dla umierającego grzesznika."

„Jakto! Czyżby tak niebezpiecznie być miało! Gdzież cię boli Edgarze?"

„Tu;" odrzekł nieszczęsliwy Edgar, wskazując na piersi.

»O ratuj go, ojcze, ratuj!» zawołała Madelina. „Wszak widzisz, iż on blizkim jest śmierci."

I tylko głosu miłości słuchając, podbiegła ku Edgarowi, którego pan Fitz-Walter trzymał w objęciu. Biédny lord spoglądał kolejno to na ojca, to na córkę.

»Ojcze mój!» mówił on przygasającym głosem. »Kochana moja Madelino!»

Poczém skłonił głowę na ramię pana Fitz-Waltera. Staruszek czuł ostatnie tchnienia umiérającego. Lady Ellis wydała stłumiony okrzyk boleści.

„O, nie lękaj się Madelino!" rzekł pan Fitz-Walter spokojnie. „On tylko zemdlał. Zaniosę go do mego pokoju, a ty wracaj nazad do Grove-Manor."

„Boże mój, Boże! zmiłuj się nad nim!" zawołała Madelina, padając na kolana.

Nagle wszedł sir Jasper.

„Och, tyżeśto Madelino!" rzekł on. »Byłem w obawie z powodu twojej i twego przyjaciela nieobecności. Wracając do domu, spotkałem konie wasze, które puszczone na wolę, biegły spokojnie ku Grove-Manor. Pomyślałem sobie, iż chcesz zapewne przedstawić lorda swojemu ojcu. Gdzież biédny Edgar?»

Nie odpowiadając ani słowa, wskazała Madelina na drzwi do pokoju pana Fitz-Waltera. Sir Ellis udał się tamże i wnet powrócił. Dawna jego wesołość znikła.

„Jest mu lepiéj, spi;" — rzekł poważnie — »wstań Madelino, wracajmy."

I wyszli oboje w milczeniu.

„Mylady już nas opuszcza..." ozwał się służący pana Fitz-Waltera.

„Tak, idę *Filipie*; lecz jutro rano będziem tu znowu."

Tajono jeszcze jakiś czas śmierć Edgara przed lady Ellis. Wszakże domyśliła się wreszcie o niéj, gdyż ile razy o stan jego zdrowia pytała, odpowiadano jéj z widoczném unikaniem dalszéj mowy w tej mierze. Sir Ellis przygotowywał ją nieznacznie na tę wiadomość, nie, jakby się domyśliwał jéj uczuć dla Edgara, lecz że znał jéj czułość nadzwyczajną.

Madelina opłakiwała przez całe życie Edgara, który zawsze drogim jéj sercu pozostał, lecz jéj małżonek nie dowiedział się nigdy, czém byli dla siebie.

Lady Sara Aylesbury zachowała i po śmierci męża dawną lekkomyślność i zalotność, i umarła w kilka lat późniéj we Włoszech, przeziębiwszy się na balu karnawałowym.

Żądza i obawa skarbów.

Że wszyscy skarbów pragną, wiadomo jest dostatecznie; lecz żeby ktoś lękał się skarbów, czyż kiedy o tém słyszano? A przecież zdarzają się podobne wypadki. I tak np. nie ma dla biednego ludu Peruańskiego straszniejszéj nowiny, jak odkrycie nowego pokładu złota lub śrebra w ich ojczyźnie. Znane są bogactwa Peru, obfitującego we wszelkie szlachetne kruszce, mianowicie zaś w śrebro, lecz znane są także okrucieństwa, jakich chciwi Europejczykowie z powodu tych skarbów nad krajowcami się dopuszczali. Nieszczęśliwi Peruanie przekonali się długiémi cierpieniami, iż uprawa nieprzebranych min śrebra o wiele stan ich pogorszyła, i za nic w świecie przeto nowych żył śrebrnych Europejczykom nie odkrywają. Nawet gorzałka, która zwykle wszechmocną władzę nad Indyjaninami wywiera, w tym razie bezskuteczną się okazuje. Przed kilka laty żyli we wsi Huancayo dwaj bracia, Don Jose i Don Pedro Irriarte, należący do najzamożniejszych posiadaczy kopalń w Peru. Mając wielorakie przyczyny do domysłu, iż w poblizkich górach jeszcze wiele nieużytych żył rudnych się znajduje, wyprawili oni młodego ajenta z poleceniem, wybadać dokładnie całą okolicę, i użyć wszelkich środków, aby nową kopalnię odkryć. Wysłaniec udał się do pewnéj wsi, gdzie znalazł przystęp do chaty indyjskiego pastuszka, któremu jednak, jak się rozumie, nic o swoim zamiarze nie nadmienił. Po niejakim czasie zawiązał się miłosny stosunek między młodym ajentem a córką Indyjanina, i powiodło się kochankowi wymódz na dziewczynie obietnicę pokazania mu miejsca dawnéj, bardzo obfitéj kopalni śrebra. Dla dopełnienia obietnicy wezwała go kochanka do towarzyszenia jéj w góry, dokąd właśnie trzodę pędziła, i rzekła, iż tam, gdzie upuści swój rańtuch wełniany, będzie wchód do zasypanéj starodawnéj kopalni. Młodzieniec usłuchał jéj rady, zatrzymał się na wskazaném miejscu, i zacząwszy

dam kopać, odkrył w istocie obfity pokład srebra. Gdy właśnie kilka brył kruszcu miał już odłamać, zeszedł go niespodzianie stary pastérz, i ofiarował mu przy téj pracy swoję pomoc. Wzięli się więc obydwaj do roboty, aż wreszcie znużywszy się, usiedli na spoczynek, przyczém stary Indyjanin swego towarzysza używanym w tamtych stronach napojem *chicha* poczęstował. Młodzieniec napił się, lecz wkrótce uczuł boleści, a domyślawszy się, iż go otruto, zebrał czémprędzej odłupane złomki rudy, i pospieszył nazad do Huancayo. Ledwie mu tyle czasu zostało, iż przybył do wsi i opisał dokładnie okolicę, w któréj znaleziony pokład się znajduje, i tego samego jeszcze wieczora umarł. Wysłano natychmiast ludzi w celu odszukania wskazanéj kopalni, lecz nadaremnie; stary pastérz uszedł wraz z całą rodziną z okolicy, i nigdzie ani jego chaty, ani żyły srebrnéj nie znaleziono. — W téjsaméj wsi Huancayo żył niegdyś Franciszkanin, którego tameczni Indyjanie bardzo lubili, i który téż zwykle do nich się udawał, gdy mu pieniędzy zabrakło. Pewnego razu przyniesiono mu wkrótce po jego zgłoszeniu się z nową prośbą, pełny worek srebrnego kruszcu. Tożsamo powtarzało się kilkokrotnie. Wreszcie zażądał mnich, aby mu téż pokazano, zkąd tak hojne skarby pochodzą. Wysłuchano i téj prośby, i zeszło się kilku Indyjan, którzy Franciszkanina zwyczajem swoim na plecach w przyległe góry zanieśli. Dla ostrożności jednak zawiązali mu oczy, a odsłonili je dopiéro w głębi kopalni, gdzie mu błyszczącą, grubą żyłę srebra pokazali. Uradowany Franciszkanin nabrał sobie kruszcu ile mu się podobało, dał sobie znowu oczy zawiązać, i został nazad odprowadzonym. Po drodze jednak rozwiązał on chytrze różaniec i opuszczał tu i owdzie po paciorku, aby tym sposobem drogę sobie do téj skarbnicy naznaczyć. Przybywszy do domu, udał się znużony na spoczynek, lecz któż opisze jego zdziwienie, gdy nazajutrz rano przyszli doń wczorajsi przewodnicy, i mówiąc z uśmiechem: »Oto, wielebny ojcze, różaniec, który wczoraj zgubiłeś;« — oddali mu wszystkie pozbiérane paciorki.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 32gi i zawiera: 1) O użyciu kwasu siarkowego do sprawienia roli. (Dokończenie.) 2) Sposób leczenia motylicy u bydła i owiec, przez komisyję rządową spraw wewnętrznych i duchownych królestwa polskiego, podany. 3) O porozumieniu się gospodarzy z chemikami. Przez profesora Balling'a. 4) O okrzesywaniu jabłoni, aby lepiéj rodziły. 5) Lekarstwo zupełnie nowe na bladaczkę owiec. 6) Machina do wyniszczenia wszelkiego ziemnego robactwa, roślinom gospodarskim szkodliwego. 7) Jeszcze jedno lekarstwo na kolki u koni. 8) Wiadomości handlowe. 9) O przedaży książek i modelów narzędzi gospodarskich.

Dziennika mód paryzkich pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 17ty i zawiera, prócz mód, następujące artykuły: 1) Okropna swadźba. Wiérsz przez Fr. Walig........ 2) Ukryte drzwiczki. Ciąg dalszy.

Ruch literacki w królestwie Polskiém. Komitetowi cenzury w Warszawie podano w roku zeszłym 471 rękopismów i książek (w téj liczbie 101 w języku hebrajskim). Z tych dozwolono drukować 364 a 6 zakazano. (W języku hebrajskim dozwolono drukować 77, zabroniono 7.) Z porównania r. 1844 z 1845 okazuje się, że w tym ostatnim podano cenzurze warszawskiéj do roztrząśnienia daleko więcéj rękopismów niż w poprzednim. Stosunkowo z pomnożeniem rękopismów i liczba ksiąg wydrukowanych znacznie przewyższa liczbę z r. 1844. Między wydanémi na widok publiczny księgami godne jest uwagi pomnożenia się dzieł naukowych i historycznych. Liczba książek z zagranicy przywiezionych dochodzi do 13,782 różnego tytułu dzieł (mniéj o 2.174 jak w r. 1844). Z tych w całości dozwolono 13.533, z wyjątkami 144, zabroniono 96; pozostało nieprzejrzanych 9. (Wyjątek z statystyki, umieszczonéj w Gazecie Rządowéj.)

Silvio Pellico, jeden z najznakomitszych poetów włoskich, znany ze swego dziesięcioletniego więzienia w Wenecyi i w Bernie, zaniechał od czasu wyjścia na wolność wszelkich prac poetycznych i żyje w zupełnéj umysłowéj i towarzyskiéj zaciszy. Na wspomnienie o pismach swoich, odpowiadał on w rozmowie z pewnym cudzoziemcem, który roku zeszłego w Rzymie go odwidzał, iż wszystko to, zdaje mu się teraz błahą rzeczą, któréj »ledwie, że się nie wstydzi.« — »Największém dobrem, jakie człowiek w życiu uzyskać może,« mówi Pellico, »jest spokój duszy, a dzięki Bogu, dobiłem się go nareszcie.« — Zapytany, czy już więcéj poezyj pisać nie myśli, odrzekł: »Zestarzałem się, i na młodszych to zdaję.« — Ma on teraz lat 56, lecz wygląda bardzo chorowito. Jest nizkiego wzrostu, siwy, a poniesione cierpienia wyryły się tak boleśnie na jego licu, iżby go za 70letniego starca mieć można. Zresztą widać po nim, iż odniósł zwycięztwo nad samym sobą, i pokonał namiętności, które zwykle ludziom panują. Daleki zarówno od dumy, jakotéż zawziętéj mściwości, wyszedł on z więziennéj szkoły cierpliwości i poddania się woli bożéj — jako prawdziwy chrześcijanin. Niektóre pisma jego są także na język polski tłumaczone; w Krakowie wyszło dzieło jego »O powinnościach człowieka« — w Wilnie »Więzienia moje.«

Państwo W. Brytanii. Dzienniki angielskie podają następujący dumny pogląd na potęgę państwa angielskiego, rozciągającą się ponad wszystkie kraje kuli ziemskiéj: »W posiadłościach królowéj Anglii znajduje się: 100 półwysep, 250 przylądków, 1000 jezior, 2000 rzek, 10.000 wysep. Królowa wyciągnie rękę a 500.000 wojowników w bój spieszy; skinie głową, a 1000 okrętów wojennych i 100.000 żołniérzy morskich spełnia jéj rozkazy we wszystkich częściach świata. Jéj król. mość stąpi nogą, a 120 milijonów istot ludzkich uczuwają odgłos tego kroku. Niech przystąpią najsławniejsi zdobywcy, niech ugną kolana przed królową Anglii i uznają, iż nie było nigdy potęgi, która tyle ziem' posiadła, tyle królestw podbiła. Assyryja nie była nigdy tak bogatą, rzeczpospolita rzymska tak ludną, Kartagina tak groźną, rzesza Kalifów tak potężną, sama nawet Hiszpanija za Karola Vgo, tak wielką ani tak rozległą. Zaleliśmy więcéj państw niż sam »bicz boży« — Attila; zburzyliśmy więcéj królestw, i złożyli z tronu więcéj królów, niż sam Macedoński Aleksander. Podbiliśmy więcéj narodów niż Napoleon, stojąc u szczytu swojéj potęgi; zagarnęliśmy większą przestrzeń ziemi, niżby ją tabun mogolskiego Tamerlana mógł przebiédz.«

Gdzieżto jesteśmy? Cóżby czytelnicy nasi mniemali, czytając następujący opis: »Weszliśmy naprzód do olbrzymiéj przedsieni w egipskim stylu. I rozwarła się z łoskotem żelazna brama przed nami i wpu-

ściła nas w wnętrze. A gdyśmy próg jéj przekroczyli, żelazna brama zawarła się z łoskotem znowuż za nami. Potém dał się słyszéć pod nami chrzęst kół i łańcuchów, a jakaś niewidoma ręka podniosła nas w górę ku innéj żelaznej bramie. Przewodnik nasz dotknął się jéj, a również i ta brama uchyliła się przed nami. Tuśmy ujrzeli nieprzejrzany szereg martwych a jednak ruchomych potworów, posuwających się to w tę to w ową stronę. Przed niémi stali potępieni, którzy Bóg wié za jakie ciężkie przestępstwa, skazani byli służyć tym bezdusznym potworom, wraz z niémi tam i nazad postępować, i na każde ich skinienie uważać. Powietrze, którém tam oddéchano, przesiąknione było drobnym, ledwie widzialnym pyłkiem, dość lekkim, aby aż do płuc wniknął, dość ostrym, aby tam rany sprawił— rany, naprzód małe i nic nie znaczące, potem coraz większe, wreszcie całe płuca pożerające. A w górze i pod spodem, powyżéj i poniżéj tych dusz pokutujących, panowała nieustanna wrzawa piekielna, która słuch zagłuszała, nerwy burzyła, i ani jednéj myśli rozwinąć się nie dopuszczała. Myśli? Ach, myślić tam nie wolno było, gdyż owe czarne potwory— machiny— wymagały całkowitéj, bezmyślnéj uwagi biednych dusz potępionych....« Któż, czytając ten opis, nie mniemałby widzieć przed sobą »Piekło« Dantego, a przecież, jestto tylko opis olbrzymiéj — fabryki w Leeds.

Baptyści w Ameryce. Do licznych sekt religijnych, które w północnéj Ameryce na śmiało wyznania swoje głoszą, należą także Baptyści. Ci, jak wiadomo, chrzczą dopiéro wtedy, gdy osoby, mające być chrzczóne, dójdą wieku, w którym nad zasadami swego wyznania zastanowić się mogą. Duchowni Baptystów wędrują po kraju, i w rzekach, w stawach chrzczą publicznie osoby płci obojéj. Mianowicie płeć piękna potrzebuje silnéj wiary, aby przy takich publicznych chrzcinach na widok powszechny się wystawiała; lecz wiara działa cuda, i cudem téż istotnie nazwać można, że nawet kobiéty z wyższych stanów, w zapale religijnym, téj ceremonii się poddają. — Przed dwoma laty wzmogła się liczba ochotników wyznania baptystkiego tak dalece, iż nawet mrozy zimowe tego publicznego chrzczenia przerwać nie mogły. Wybijano płonki w lodzie, i zanurzano nowochrzczeńców wprost głową w wodę. Wielu nabawiało się ztąd niebezpiecznego przeziębienia, i przypłacało ten fanatyzm długoletnią słabością albo przedwczesną śmiercią. Około tego czasu chrzcił pewien Baptysta w małém jeziorze w Illinois nowozaciężne grono mężczyzn i kobiét. Stojąc przed dużém oknem w lodzie, zanurzył już był ze 20 osób, jednę po drugiéj w zimną wodę, aż przyszła nareszcie kolej na starą, powszechnie szanowaną kobiétę. Zanurzył ją także storcem głowy w wodę. A że staruszka z przestrachu, za krawędź lodu się przytrzymała, przeto wyższa część ciała, wcale się nie zmoczyła. Duchowny zaś w gorliwości swojéj, chciał ją koniecznie porządnie ochrzcić, i uchwyciwszy staruszkę za warkocz, pchnął ją co siły w zbawienną wodę. Lecz — o biada! Warkocz był przyprawiony i oderwał się — a głowa bez warkocza poszła pod wodę, i znikła wraz z resztą ciała pod lodem. Baptysta, trzymając fałszywy warkocz w ręku, nie mogł pojąć, gdzie mu się podziała głowa! Schylił się, zajrzał w okno, lecz już nie zobaczył nórka. Jednakże nie stracił przytomności, i rzekł do zgromadzenia, pokazując przyprawę fryzyjerską — »Fałsz zawsze zgubę niesie! Straciliśmy siostrę; popłynęła do wieczności, wieczny jéj odpoczynek!« To rzekłszy, nie przerywając bynajmniéj obrzędu, chrzcił daléj, a zobaczywszy najbliżéj koło siebie murzynkę — spławił ją — co się zowie.

Rosyjski profesor Czaszników w Mitawie, prócz innych przedmiotów naukowych, wykładał także historyję literatury rosyjskiéj, przyczém nieraz stosunek autorów rosyjskich do literatury rosyjskiéj z podobnymże stosunkiem profesorów niemieckich do niemieckiéj literatury porównywał. Z jakiego zaś stanowiska zacny profesor na ten stosunek spoglądał, okazuje się z następnego, dosłownie tu przytoczonego zdania: »Czémże był Szyler? Niczém. Dopiéro niedługo przed śmiercią został konsylijarzem nadwornym, i to tylko tytularnym. Lecz nasz Łomonosoff był sowietnikiem państwa, a miał tyle orderów: jakoto i t. d.«

Tron azyjatycki. Jehangire, król Lahory, miał nadzwyczajnie kosztowny tron, który wziął z sobą, opuszczając wraz z piękną Nurmahal stolicę swego państwa i przenosząc się do Agry. Tron ten, nad którym przeszło 7 lat pracowano, jedynie co do swoich klejnotów, nie licząc w to ozdób złotych — wart był 1 milijon 200.000 funt. szterl., to jest około 48 mil. zł. pol. Miał on kształt dwóch pawiów z rozpiętémi skrzydłami, w których każde pióro składało się z różnobarwnych kamieni drogich, a oczy lśniły się największémi i najczystszémi dyjamentami. We środku ponad pawiami unosiła się wielka, z jedynego szmaragdu wyrznięta papuga, któréj połysk kolorów miał być nieporównanie piękny. Najpyszniejszemi zaś ze wszystkich klejnotów był tam olbrzymi rubin, zdobyty przez Timura przy opanowaniu Delhi, i dyjament wielkości jaja gołębiego, znany pod nazwą »góra światłości.«

Papier chameleonowy. Pewien chemik szkocki miał wynaleźć papier najczystszego białego koloru, który jednak za chuchnięciem czerwienieje, a po kilku sekundach znowu dawny biały kolor przybiera. Trzymany w cieple, zachowuje przez kilka godzin kolor czerwony, ochłodnąwszy zaś, nazad blednieje. W wodzie nie mięknie i nie rozpuszcza się tak łatwo, jak zwykły papiér, a w ogniu przetléwa bez płomienia. Jestto wynalazek, zasługujący ze wszech miar na uwagę miłośników sztuk pięknych, a osobliwie rysownictwa.

Szpitale balowe. Przy wielkich publicznych balach w Paryżu zaczynają urządzać małe, bardzo elegancko ozdobione lazarety dla dam, któreby nagle na balu zasłabnąć mogły. -- Ciemnozielone draperyjo, przyćmione światło, wszelakie krople, esencyje, spirytusy wąchalne, świéża woda, octy, cytryny, nożyczki do rozcinania gorsetów, słowem jest tam wszystko, co tylko damom zmysły przywrócić może. Nadto w każdym lazareciku jest wprawna dozorczyni chorych, znająca się na wszystkich sekretach damskich mdłości, a za drzwiami zaufany odźwierny.

Przyczynek do literatury niemieckiéj. Spółcześnie z rozszerzeniem się towarzystw wstrzemięźliwości, wyszła w Niemczech broszura zawierająca »Przepisy dla pijaków przed upiciem się, w czasie upojenia i po wytrzeźwieniu się.« Uczony autor nazwał pisemko swoje »Nebelungen-hort« (*benebeln*, podchmielić sobie), czyniąc przezto alluzyję do sławnego staro-niemieckiego poematu »Nibelungen-hort.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. -- Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.